

EDELWEISS 1943



piSMOK

Edelweiss Blatt

ROZDZIAŁ VI

*MOBILES ARMEECHIRURGISCHES
KRANKENHAUS*

4 grudnia 1943

Sela i Quint wzięli ślub. W sypialni. Nie na placu apelowym, nie w kantine (wiecznie brudnej). Kameralnie, po cichu, z udziałem ledwie kilku osób, w tym mnie. Żadnych fanfar, żadnego zbiorowego wzruszenia, żadnej improwizowanej orkiestry złożonej z pijanego Quinta stukającego łyżką o menażkę. Tylko oni, kilka spojrzeń i wojna stojąca za drzwiami.

Nie wiem, czy się wstydzieli. Możliwe. W tych czasach człowiek potrafi się wstydzić rzeczy zupełnie absurdalnych, a zupełnie nie wstydzić tych, które naprawdę powinny go palić w uszy. A może to po prostu efekt ostatnich wybryków Rotha i utraconego zaufania do naszej małej, rozgadanej menażerii. A może właśnie tak to sobie wymarzyli: bez tłumy, bez komentarzy, bez rubasznych docinków, bez tej całej obozowej farsy.

Potem odezwało się dowództwo. Znow. Tym razem z wiadomością dla Weismana.

– Oficjalnie przywracamy cię w szeregi armii. Incydent z... pożyczaniem samolotu w celu ucieczki z kraju... Oficjalnie samolot uprowadziła grupa agentów sarmackich.

Przyznam, że niemal się wzruszyłem. Państwo potrafi być naprawdę twórcze, kiedy trzeba przykryć kompromitację eleganckim kłamstwem. Kradzież samolotu przestała być kradzieżą samolotu, a stała się aktem wrogiej działalności obcych agentów. Wojna ma wiele ofiar – prawda jest zazwyczaj jedną z pierwszych.

– Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy płakać – odpowiedział David swoim zwykłym tonem, tym samym, którym człowiek komentuje dzisiejszą pogodę.

– David, przestań pieprzyć przez chwilę – wszedł mu w słowo Quint. – I wysłuchaj do końca.

Weisman zamilkł. Nie dlatego, że nagle odkrył w sobie dyscyplinę. Raczej dlatego, że nawet on wyczuł, że jeszcze chwila, a ktoś przyłoży mu czymś ciężkim.

– Jako najwyższy stopniem zostajesz tymczasowym dowódcą jednostki. O dal...



– Tymczasowym? To potem wraca Roth? – wtrącił natychmiast David, bo oczywiście nie wytrzymał.

– O dalszym losie jednostki porozmawiamy przy innej okazji. Sytuacja na froncie zrobiła się dynamiczna i Kanzelpass przejdzie prawdopodobnie reorganizację.

– Tak jest... – odpowiedział, ale bez cienia entuzjazmu. I trudno mu się dziwić. Życie właśnie zadrwiło z niego w sposób wyjątkowo staranny. Chciał uciec od wojska, a

skończyło się tak, że wojsko nie tylko go odzyskało, ale jeszcze posadziło mu na głowie odpowiedzialność za cały ten rozklekotany cyrk.

Kanzelpass coraz częściej nazywam w myślach *Liebesboot*. Nazwa głupia, więc tym bardziej trafna. Bo choć od czasu do czasu coś wybucha, choć nad doliną latają flaki,

ziemia pachnie krwią, a w lazarecie człowiek potyka się o rannych częściej niż o własne sumienie, to mam nieodparte wrażenie, że naszym głównym zajęciem jest dobieranie się w pary. Jakby pod ostrzałem organizm dochodził do wniosku, że skoro śmierć już stoi przy drzwiach, to przynajmniej niech nie zastanie człowieka samego.

Może to właśnie nasz najuczciwszy instynkt. Nie bohaterstwo, nie honor, nie te wszystkie piękne słowa, którymi karmią młodych chłopców, zanim wyślą ich do błota. Tylko potrzeba, żeby mieć obok kogoś. Czyjaś dłoń, czyjś oddech, ciężar czyjejś głowy na ramieniu. Kogoś, kto przez chwilę sprawi, że ten świat nie będzie wyglądał jak jedna wielka pomyłka.

Ja mam Vogel. .

Mówi mało. Czasami wręcz podejrzenie mało, jak na człowieka otoczonego bandą ludzi, którzy potrafią produkować hałas nawet przez sen. Najchętniej siedziałaby wtulona we mnie godzinami, jakby kontakt z drugim ciałem był ostatnią formą pewności, jaka nam jeszcze została. I prawda jest taka, że właśnie to mnie do niej ciągnie. Ten spokój. Ta cichość. To, że nie musi wszystkiego komentować, zagadywać, rozładowywać dowcipem albo rozszarpywać słowami. Przy niej nawet ja potrafię na chwilę przestać grać cynika.

A do tego nosi dziecko. Moje dziecko.

Podjęliśmy też decyzję w sprawie Rotha i Falka. Posiedzą jeszcze parę dni w ciupie, a potem ich wypuścimy. Roth na swoje stanowisko nie wróci. Dowództwo zaakceptowało to bez większego oporu, co samo w sobie zakrawa niemal na cud administracyjny.

Naturalnie mogliśmy ich odesłać do domu. Brzmi to pięknie, prawda? Odesłać. Jakby za rogiem czekał pociąg. Problem polega na tym, że nikt tutaj po nich nie przyleci. Jedyne samoloty, jakie oglądamy, to te, które kończą wbite w ziemię albo rozsypane po zboczach na części, których nawet nie chce się zbierać. Wyśleć ich pieszo?

To byłby wyrok śmierci. A mimo wszystko, mimo wojny, mimo tego, co z nami robi, jeszcze nie staliśmy się aż takimi psychopatami. Jeszcze.

Wczoraj do doliny wjechał transport zaopatrzenia. Niestety nie nasz. Lumeryjski. Chociaż im dłużej o tym myślę, tym mniej wierzę, że ktokolwiek przyjechał tam z myślą o zaopatrzeniu czegokolwiek poza cmentarzem. Ledwie zobaczyli zabudowania, zaczęli wyskakiwać z ciężarówek i szykować do ataku. Bez wahania. Bez ostrzeżenia. Pewnie dobrze wiedzieli, co ich czeka w dolinie. Liczyli tylko pewnie, że nas podejda.

Do teraz słyszę rannych.

To była chyba najkrwawsza bitwa, jaką przeżyłem. Nie wiem, ilu ich było. Nie wiem, ilu zginęło. W pewnym momencie liczby przestają mieć znaczenie, bo wszystko redukuje się do huku, błota, krzyku i kolejnych ciał, które trzeba odciągać, opatrywać, obracać, ciąć, dociskać, zszywać albo przykrywać. Mam jednak wrażenie, że ruszyła na nas cała kompania.

Daliśmy radę. To znaczy tyle, że nadal tu siedzę i mogę to zapisać. Nie znaczy to wcale, że wyszliśmy z tego cało. Solidnie nas obili.

Luca ma przestrzelone płuco. Besson strzaskaną kość promieniową w prawym ręku. Tutaj tego nie naprawię. Mogę łątać, stabilizować, opóźnić katastrofę, oszukiwać ból i odwlekać najgorsze, ale cudów nie zrobię. Bonnet i Porter stracili nosy. Wojna ma doprawdy osobliwy gust, jeśli chodzi o to, co człowiekowi odbiera. Czasem



życie, czasem twarz, czasem tylko złudzenie, że po wszystkim wróci do dawnej postaci.

Najgorsze jest to, że to wszystko spadło na nas, kiedy stare rany jeszcze dobrze nie zdążyły się zamknąć. My tu właściwie nie zdrowiejemy. My tylko dokładamy sobie następne warstwy uszkodzeń. Jedne ciała ledwie zaczynają się zrastać, a już trzeba rozcinać kolejne mundury. Jedni schodzą z pryczy, drudzy natychmiast na nią trafiają. Krążymy tak w kółko, jak źle naoliwiona maszyna do przetwarzania ludzi w opatrunki i blizny.

Leki, które nam zostały, mogę policzyć na palcach. I to bez szczególnego wysiłku.

To zabawne, w ten ponury, frontowy sposób, że człowiek przez całe studia uczy się anatomii, procedur, nazw kości, naczyń i powikłań, a potem kończy w miejscu takim jak to, gdzie o wszystkim decyduje nie wiedza, tylko zapas bandaży, kilka fiolek i pytanie, kogo jeszcze opłaca się ratować najpierw.



6 grudnia 1943

Święta są coraz bliżej. To akurat osobliwe, bo człowiek siedzi w górskiej dziurze, wokół ma rannych, więźniów, błoto i od czasu do czasu lecące z nieba pociski artyleryjskie, a i tak się przejmujemy kalendarzem. Najwyraźniej nawet wojna nie potrafi zatrzymać tej całej bożonarodzeniowej maszyny. Można rozwalić pół świata, ale biesiada przy choince i tak przyjdzie.

Zaczęliśmy więc przygotowania. Urządziliśmy... *der Andachtsbunker*. Tak to nazywamy. Brzmi poważnie, trochę absurdalnie, czyli typowo jak w Kanzelpass. Oficjalnie Orina zaraportowała, że zbudowaliśmy kaplicę polową. Ładnie, schludnie, wojskowo, do papierów jak znalazł. Ale „bunkier modlitewny” ma w sobie więcej prawdy. Bo to nie żadna kaplica z obrazka, tylko schron dla dusz. Bo może i jestem w stanie połączyć ciało, ale umysłu człowieka naprawić nie potrafię.

Ekipa budowlana postawiła ławki. Nawet porządnie, co samo w sobie zasługuje na odnotowanie, bo zwykle porządnie wychodzi nam głównie improwizacja. Selma i Porter wyrzeźbili jakieś posążki. I co najgorsze, wyszły im naprawdę całkiem ładne. Człowiek już się nastawia na frontową tandetę, jakąś kanciastą pokrakę przypominającą świętego tylko pod warunkiem, że ogląda się ją po ciemku i po alkoholu, a tu proszę. Estetyka. Talent. Ambicja.

Już widzę minę naszego lokalnego biskupa rottryjskiego, gdyby przyszło mu to oglądać. Zamiast świętych mamy przy ołtarzu gości w mundurach. Dałbym sobie rękę uciąć, że ten poprawo przypomina jednego z Faktotum.

– Ekskomunikują nas... – stwierdził któregoś razu Luca tonem człowieka, który właściwie już pogodził się z losem i teraz tylko czeka, czy piekło będzie miało przyzwoitą obsługę.

– Spokojnie. Od wybuchu wojny każdy Edel jest już wyklęty – odparł Booth.



I trudno powiedzieć, żeby się mylił. Z tego, co udało nam się ustalić, Rotria objęła anatema właściwie każdego, kto stanął po drugiej stronie. Poza tym, rzecz jasna, że ogłosiła świętą wojnę przeciwko połowie Pollinu, bo jak już człowiek bierze się za zbawianie świata, to najlepiej od razu hurtowo. Religia podczas wojny nabiera szczególnego rozmachu. Im więcej trupów, tym chętniej każdy ogłasza, że Bóg stoi dokładnie po jego stronie. Ciekawe, czy na górze prowadzą już ewidencję tych

wszystkich wzajemnych wyklęć, czy tylko machnęli ręką i pozwolili nam się kompromitować bez nadzoru.

Któregoś wieczora Frau Blau spytała mnie, całkiem spokojnie:

– Może tutaj weźmiemy ślub?

I cały nastrój, rzecz jasna, diabli wzięli.

Nie dlatego, że pomysł był zły. Właśnie to jest najgorsze. W innych okolicznościach może nawet uznałbym go za piękny. Cichy, prosty, nasz. Tylko że ja chyba nie podchodzę do tego wszystkiego aż tak poważnie. To znaczy podchodzę. Na swój sposób. Tyle że dotąd bardziej w trybie przetrwania niż planowania wspólnej

przyszłości. Była wojna, były wybuchy, cięza, strzelanie do wrogów, łatanie swoich, czasem łatanie wrogów, bieganie od pryczy do pryczy i od kolejnego kryzysu do następnego. Naprawdę nie było kiedy usiąść i zastanowić się, co dalej z nami.

A może właśnie w tym rzecz, że nigdy nie ma kiedy. Człowiek wmawia sobie, że pomyśli o ważnych sprawach później, kiedy będzie spokojniej, kiedy ucichną strzały, kiedy skończy się ten jeden konkretny chaos. Tylko że tutaj zaraz po jednym przychodzi następny. I potem następny.

Tak było i dzisiaj. Ledwie skończyłem obchód po więzieniu, wróciłem do messy i już miałem nadzieję, że przez parę minut nikt nie będzie ode mnie nic chciał, kiedy wpadła Moser.

– Zobaczcie, co załatwiłam! – ryknęła od progu z entuzjazmem człowieka, który albo niesie rozwiązanie wszystkich problemów, albo właśnie przytaszczył początek nowego.

Wyszliśmy na zewnątrz. Tam czekał stos pustych butelek, jakieś naczynia, rurki i worki. Całość wyglądała mniej więcej tak, jak wyglądają rzeczy, po których lekarz powinien natychmiast nabrać podejrzeń.

– Zaczniemy robić leki czy otwieramy kartel narkotykowy? – spytałem z przekąsem, bo niby po co miałbym reagować normalnie.

– Blisko! – odparła, kompletnie niezrażona moim tonem. – Będziemy robić piwo!



I wtedy zaczęło się zbiorowe objawienie. Euforia była natychmiastowa i zupełnie nieprzyzwoita. Jakby właśnie nie ogłoszono produkcji frontowego alkoholu, tylko nadejście pokoju, amnestii i dostawy świeżego chleba. Ludzie potrafią być zadziwiająco prości w swoich radościach. Wystarczy obiecać im sfermentowany płyn, a nagle przez chwilę zapominają, że wokół krążą śmierć, mróz i niedobory.

Jeszcze bardziej wszystkich nakręciła Klara, kiedy zaczęła opowiadać, że od kilku tygodni w

szklarni rósł chmiel i jęczmień. Czyli to nie był żaden pijacki kaprys zrodzony w pięć minut, tylko niemal operacja strategiczna. Typowa Moser. Gdyby postawić ją na czele armii, może już dawno wygralibyśmy tę przekłętą wojnę.

Prawie wszyscy się cieszyli.

Prawie.

Jedna osoba nie podzielała tego entuzjazmu. Vogel.

I doskonale wiem dlaczego.

Leki.

Nie musiała nic mówić. Wystarczyło na nią spojrzeć. Podczas gdy reszta widziała butelki, chmiel, jęczmień i perspektywę upicia się w imię morale, ona widziała to samo co ja, tylko może uczciwiej. Zapasy, które można by było wykorzystać inaczej. Energię, czas i środki, które przy odrobinie szczęścia dałoby się przerobić na coś bardziej użytecznego niż piwo. Jedna bitwa. Jedna epidemia. Wystarczy. Naprawdę tylko tyle. Jedno większe uderzenie, jedno paskudne świństwo, które przejdzie przez baraki, i zostaniemy z niczym.

A wtedy będziemy leczyć modlitwą.

W bunkrze modlitewnym, rzecz jasna, skoro już tak ładnie go urządziliśmy.

Jest w tym coś szczególnie gorzkiego. Z jednej strony rozumiem ich wszystkich. Naprawdę rozumiem. Każdy tutaj potrzebuje czegoś, co choć na chwilę przypomni normalność. Czegoś, co pozwoli usiąść wieczorem i przez kilka minut poudawać, że świat nie składa się wyłącznie z ran, rozkazów i czekania na kolejny atak. Piwo, święta, ławki w bunkrze, posążki przy ołtarzu, głupie rozmowy o ślubach. To wszystko są małe, rozpaczliwe gesty ludzi, którzy nie chcą całkiem zapomnieć, że kiedyś byli kimś więcej niż tylko materiałem do wojennego przemiału.

Z drugiej strony ja widzę prycze. Widzę gorączkę. Widzę kaszel, który nagle robi się mokry i ciężki. Widzę krew wsiąkającą w bandażę szybciej, niż jestem w stanie je zmieniać. Widzę to, jak niewiele dzieli nas od chwili, w której znowu zaczniemy wybierać, kogo jeszcze da się utrzymać przy życiu, a kogo już tylko odsunąć w kąt i przykryć.

Może właśnie dlatego Vogel nic nie powiedziała. Bo oboje wiemy to samo, tylko każde z nas nosi tę wiedzę trochę inaczej. Inni czekają na piwo. My czekamy na rachunek, który prędzej czy później przyjdzie za tę chwilę radości.

Święta coraz bliżej, a my jesteśmy w dupie.

A ja coraz mniej wiem, czy bardziej boję się tego, czy dożyjemy gwiazdki czy tego, że zaczynamy się urządzać w tym bałaganie

8 grudnia 1943

Wypuściliśmy Rotha i Falka. Wystarczy im. Nie jestem sędzią, kapelanem ani wychowawcą moralnym dla idiotów, ale myślę, że kilka dni spędzonych blisko rannych jeńców dało im więcej niż niejeden wykład o honorze, obowiązku i innych słowach, które najlepiej brzmią z dala od frontu. Widok krojonych... to znaczy operowanych... ludzi obok powinien im zostać w głowach na długo. A przynajmniej taką mam nadzieję. Może Roth wreszcie zauważy, że za medalami jednych zawsze idzie tragedia drugich. Że każdy order przypina się komuś nad stertą cudzych trupów.

Bo przecież oni, tak samo jak my, w większości wcale nie chcieli się tutaj znaleźć. Nikt przy zdrowych zmysłach nie marzy o tym, żeby gnić w górach albo w piachu tylko dlatego, że ktoś wysoko postawiony postanowił odświeżyć swoje ambicje przy pomocy cudzej krwi. Nikt nie chciał wojny o zlepek pikseli. O Awarę. Kolejnej wojny o tę samą kupę piachu, która najwyraźniej ma większą wartość symboliczną niż rzeczywistość. Człowiek patrzy na mapę, potem na rannych, potem znowu na mapę i zaczyna rozumieć, że geografia jest jedną z bardziej zabójczych form abstrakcji.

Tylko nikt nie spodziewał się, że tym razem pół świata ruszy do walki dlatego, że jakiś hrabia czy inny baleron przypomniał sobie nagle, że kiedyś miał tam lenno i teraz postanowił je odzyskać. Wspaniała motywacja. Stulecia cywilizacji, postępu, dyplomacji i politycznej ogłady, a na końcu i tak wracamy do starego, sprawdzonego: „to kiedyś było moje”. Gdy dzieci na podwórkach rozwiązują spory w ten sposób, dorośli każą im rozmawiać a nie się bić. Kiedy robią to państwa, dostaje się to wszystko w eleganckiej oprawie, z hymnami, rozkazami i pieczętami.

– Efekt domina. Znowu – powiedział mój ojciec w pierwszych tygodniach wojny, cztery lata temu.

Pamiętam to dobrze. I pamiętam też, że wtedy brzmiało to jeszcze jak ponura publicystyka, nie jak wyrok. Kto by pomyślał, że nasze zamknięte, biesiadno-farmerskie państwo też któregoś dnia uzna się za militarną potęgę i z zapalem dołączy do przewracających się kostek domina. Najwyraźniej nawet kraj zbudowany na biesiadach, polach i świętym przekonaniu, że świat kończy się za najbliższą górą, może dojść do wniosku, że potrzebuje wojennej chwały. To chyba jedna z tych chorób, które nie oszczędzają nikogo.

Rano obudziło nas wycie syreny.

Jeszcze niedawno naprawdę się cieszyłem, że wraz z przywróceniem prądu mogliśmy uruchomić stary system alarmowy. Koniec z fałszowaniem na trąbce, mówiłem. Koniec z tym żalonym, improwizowanym rzępoleniem, które bardziej przypominało zarzynanie świni niż ostrzeżenie przed zagrożeniem.

Aż do dzisiejszego świtu, kiedy to wyjące gówno wyrwało mnie ze snu i z objęć Vogel.

Nie ma chyba bardziej niezawodnego sposobu, by człowiek znienawidził wynalazek, który jeszcze dzień wcześniej wychwalał. Sekundę wcześniej miałem ciepło, ciszę i *Frau Blau* wtuloną we mnie w ten swój spokojny, bezsłowny sposób. Sekundę później miałem już tylko syrenę wwiercającą się w czaszkę.

Do Kanzelpass zbliżały się trzy ciężarówki. Czekaliśmy z bronią w pogotowiu, spięci, jeszcze nie do końca rozbudzeni, ale już gotowi strzelać, jeśli trzeba. W takich chwilach człowiek bardzo szybko przypomina sobie, że nie mieszka w normalnym świecie. Nie wygląda to może szczególnie bohatercko, kiedy stoisz zmarznięty, niewyspany i w niepełnym umundurowaniu, próbując ocenić z oddali, czy to zaopatrzenie, wróg, czy kolejna niespodzianka od losu. Ale najwyraźniej tak właśnie wygląda frontowa codzienność.

Wtedy nadeszła Tobiasse.

– Zluzujcie konie. To nasi.

Nasi.

Jak dziwnie zabrzmiało to słowo. Jakby należało do legend. Ostatni raz ciężarówka z rejestracją Edelweiss pojawiła się tutaj wtedy, kiedy przywieźli mnie do doliny. Nie pamiętam, żebym wtedy uznał ten widok za szczególnie pocieszający. A teraz jechali do nas aż trzema. W człowieku potrafi obudzić się sentyment do symboli, które jeszcze niedawno budziły tylko irytację.

– Szpital polowy? Na tym zadupiu? – zdziwiła się Moser.

Nie ona jedna.



Przyznam, że przez chwilę byłem nawet przekonany, że źle usłyszałem. Szpital polowy. Tutaj. W Kanzelpass. W miejscu, które jeszcze niedawno było zaledwie niespokojnym posterunkiem granicznym, a teraz najwyraźniej miało przejść kolejną przemianę, bo świat uznał, że i tak nie mamy dość powodów do narzekania.

– Macie nieaktualne dane – odparł *oberleutnant*. – Trzy dni temu wspólna ofensywa Kotliny i MAWu odepchnęła Sarmatów. Front jest nieco ponad dwadzieścia

kilometrów stąd, na zachód.

– *Scheisse...* – rzuciła Moser i uznałem, że trudno będzie to podsumować trafniej.

Nastroje mieliśmy grobowe. I nie chodziło tylko o samą zmianę nazwy czy funkcji. Ze spokojnego, od biedy nawet znośnego posterunku granicznego mieliśmy stać się szpitalem polowym. To oznaczało jedno: problemy. Duże, śmierdzące, krwawiące problemy, które nie przychodzą pojedynczo. To oznaczało koniec złudzeń, że może jeszcze jakoś dotrwamy tutaj w półuśpieniu, pomiędzy drobnymi incydentami a krótkimi okresami względnej ciszy. Jeśli front rzeczywiście przesunął się tak blisko, to nie jesteśmy już zapomnianą placówką. Jesteśmy zapleczem wojny.

I jakby dla pewności, żebyśmy dobrze pojęli, co to w praktyce znaczy, problemy zaczęły się od razu.

Z dwóch pozostałych ciężarówek wyładowano kilkunastu chorych Hawilandczyków.

Chorych na dżumę.

Tak. Dżumę. Bo skoro już robić z Kanzelpass szpital polowy, to widocznie trzeba od razu zacząć od wysokiego c. Ludzie kaszlący, osłabieni, cuchnący chorobą i strachem, przywiezieni do miejsca, które ledwie wyrabiało się z opatrywaniem przestrzelonych płuc i składaniem połamańców. Tego właśnie brakowało nam do pełni szczęścia. Epidemii.

– Zajebicie nas urządzili! – warknąłem, kiedy skończyłem dyżur przy pacjentach.
– Miała być ewakuacja, a teraz nas przykuli tutaj na czort jeden wie ile!

To była prawda. Czuliśmy się oszukani, i to w sposób wyjątkowo bezczelny. Mówiono o ewakuacji, o zmianach, o reorganizacji, a tymczasem zamiast drogi wyjazdowej przypięli nam stalową kulę. Nie tylko zostajemy, ale jeszcze od dziś mamy być nie tyle oddziałem cywilów w nieodpowiednim miejscu, co narzędziem do ratowania wszystkiego, co front zdoła połamać, zakazić i wyrzucić na nasze podwórko.

– Spokojnie – poczułem dłoń na ramieniu. – Pomyśl o tym jak o kolejnym wyzwaniu.

Vogel.

No tak. Zapomniałem na chwilę, że jedyną osobą, po której nie było widać rozczarowania po usłyszeniu tych wieści, była właśnie ona. *Frau Blau* może i dość swobodnie zaczęła podchodzić do zabaw w sypialni, ale instynkt ratowania każdego, kogo jeszcze da się wyrwać śmierci, najwyraźniej nigdy jej nie opuścił. Nawet ciąża

tego nie zmieniała. Co więcej, mam wrażenie, że tylko go wzmocniła. Jakby świadomość nowego życia tym bardziej kazała jej walczyć o każde istniejące już obok.

– Nie chcę wyzwania. Chcę święty spokój – odpowiedziałem po chwili.

I pierwszy raz od dawna byłem z tym całkowicie szczery. Bez ironii, bez pozy, bez tego zwyczajowego sztafażu, którym człowiek osłania własne zmęczenie. Naprawdę nie chciałem kolejnego wyzwania. Chciałem ciszy. Chciałem dnia, w którym nic się nie wali, nikt nie krwawi, nikt nie przywozi zarazy, a rozkaz nie zmienia całego porządku życia w jednej chwili.

– Ale przynajmniej jesteśmy nadal razem – powiedziała. – A gdyby nas rozdzielili?

– MOBILNY! – ryknąłem sam nie wiem czemu. – Słowo klucz. Dzisiaj jesteśmy razem, jutro okaże się, że przenoszą mnie albo ciebie na Pustkowie Winków.

Wyrwało się ze mnie gwałtowniej, niż chciałem. Może dlatego, że dopiero wypowiadając to na głos, naprawdę usłyszałem, co oznacza ta nowa nazwa. *Mobilny*. Gotowy do przestawienia jak skrzynia z narzędziami, kiedy komuś wyżej na mapie przesunie się kreska oznaczająca front.

Vogel zamilkła. Trawiła to. Chyba dopiero wtedy dotarło do niej w pełni, że od dziś nasza jednostka może zostać rzucona właściwie wszędzie. Że Kanzelpass nie musi już być końcem świata. Może być tylko przystankiem przed następnym końcem świata.

Drugim oficerem, który do nas dołączył, był Franz „Schatten” Lochas. Typowy trep, jakich wiele. Tego rodzaju człowiek, który jeszcze zanim się odezwie, już wygląda tak, jakby miał pretensję do twojej postawy, tonu głosu i sposobu oddychania. Za młodu był nawigatorem na statku, potem przeszedł do piechoty morskiej. A teraz, z sobie tylko znanych powodów albo z powodów znanych wyłącznie jakiemuś urzędnikowi z talentem do fatalnych decyzji, przydzielili go tutaj.

Czyli do nas.

Do Kanzelpass.

Do nowego, mobilnego, chirurgicznego cudu armii, w którym próbujemy jednocześnie urządzać święta, nie zwariować, trzymać się razem i nie dać się zabić przez pociski, zarazę albo własne dowództwo.

Coraz trudniej zgadnąć, co dopadnie nas pierwsze.



11 grudnia 1943

W nocy zaatakowali Sarmaci. Oddział szturmowy KSZ. Przekradli się przez linię frontu i uderzyli na *M.A.K. Kanzelpass*. Nie mam pojęcia po co. To znaczy, oczywiście można znaleźć wiele wojskowych, politycznych i symbolicznych uzasadnień, ale żadne z nich nie zmienia podstawowego faktu: ktoś uznał, że dobrym pomysłem będzie posłać kompanię piechoty na szpital polowy ukryty w dolinie. Wojna ma jednak ten szczególny dar, że zawsze znajdzie nowy sposób, by udowodnić, iż rozsądek jest jedynie luksusem czasu pokoju.

– Pewnie jesteśmy jakimś symbolem oporu – skwitował Roth.

To było pierwsze zdanie, jakie wypowiedział od chwili, gdy został wypuszczony z naszej celi i zdegradowany. Jak na tak długie milczenie, powiedział zaskakująco niewiele, ale może właśnie dlatego zabrzmiało to od razu wyraźniej. Człowiek, który jeszcze niedawno był dla mnie głównie chodzącym powodem do irytacji, nagle przypomniał sobie, że potrafi formułować myśli.

– Wrzodem na ich *der Arsch* po prostu – stwierdziła Moser.

I coś w tym było. Atakować szpital polowy, jeden z wielu, a jednak znowu padło akurat na *Kanzelpass*. Jakbyśmy naprawdę wbili im się pod skórę głębiej, niż powinniśmy. Może i dostali łupnia na froncie, może i jesteśmy już dość daleko od samej linii walk, ale najwyraźniej nadal mają ochotę nas zniszczyć. Zaczynam nabierać podejrzeń, że dla części ludzi po drugiej stronie staliśmy się czymś w rodzaju osobistej zniewagi. Nemezis. Niewygodnym przypomnieniem, że nie wszystko da się zetrzeć z mapy tak łatwo, jakby sobie życzyli.

Sama walka... cóż. Ku mojemu szczeremu zdziwieniu dość łatwa. Masa strzałów, wyjątkowo bez wybuchów, trochę wrzasków, sporo rannych i zabitych po drugiej stronie, a po naszej stronie skończyło się jedynie na drobnych ranach. Jak na pełną kompanię piechoty wysłaną przeciwko nam, wynik był wręcz obraźliwie

jednostronny. Nie wiem, czy byli źle przygotowani, zbyt pewni siebie, czy może po prostu Kanzelpass naprawdę ma w sobie to coś. Tak czy inaczej, nim noc się skończyła, więzienie znowu się zappełniło.

I właśnie wtedy zaczęło się to, co jak zwykle okazuje się trudniejsze od samego strzelania.

– Co wy wyprawiacie?! – wrzasnęła Heiligchan, kiedy zobaczyła, jak Tobiasse i Moser dobijają tych, dla których zabrakło miejsca w celach.

– *Coup de grâce* – wzruszyła ramionami Klara. – Słyszałaś o czymś takim?



Margarete poczerwieniała tak gwałtownie, że przez chwilę byłem przekonany, iż zaraz naprawdę wypuści parę uszami.

– TO JEST
NIEHUMANITARNE!!!
KONWENCJE TEGO
ZABRANIAJĄ!!!

Moser nie przejęła się ani trochę. Poderżnęła gardło kolejnemu z tym samym spokojem, z jakim ktoś przecina sznurek od worka z kartoflami.

– Pff... konwencje nie powstały na polach bitew. Nie mamy dla nich miejsca. Lepiej dla nich tak, niż wykrwawiać się do rana.

I oto znowu stanęliśmy w samym środku jednego z tych sporów, których nikt nie chce rozstrzygać. Bo z jednej strony Heiligchan miała rację. Było to brutalne, odrażające i zdecydowanie nie mieściło się w ładnym porządku paragrafów, którym ludzie lubią dekorować wojnę. Z drugiej strony Moser też nie mówiła całkiem od rzeczy. Kiedy nie ma miejsca, środków ani czasu, humanitaryzm bardzo szybko staje się pojęciem luksusowym. I to chyba najbardziej obrzydliwa cecha frontu: potrafi zmusić człowieka, by rozważał takie rzeczy bez pewności, po której stronie leży jeszcze przyzwoitość.

– Nie myśl, że nie wspomnę w raporcie o waszym zachowaniu.

Pani Moser nie przejęła się tym ani odrobinę. Jej sumienie, jeśli w ogóle bierze udział w tej wojnie, najwyraźniej dawno już dostało przydział do innych zadań. Za to Roth wyglądał na wyraźnie zadowolonego z całej sytuacji. Nie zdziwiłbym się, gdyby za chwilę zaczął wchodzić Heiligchan w tyłek z tym swoim szacunkiem dla regulaminu. Po degradacji to była jego szansa na ekspresowy powrót na salony.

Nazajutrz Margarete zorganizowała poranny apel i zarządziła remont więzienia.

– Jeśli nie mamy miejsca dla jeńców, to znaczy, że trzeba je powiększyć, a nie zarzynać ich jak świnie – końcówkę zdania wypowiedziała, świdrując spojrzeniem Moser.

Spodziewała się chyba reakcji. Oburzenia, skruchy, może choćby cienia zakłopotania. Najwyraźniej nie zna jeszcze Klary tak dobrze, jak jej się wydaje. Bo jeśli jest na tym posterunku jedna osoba, która nie położy po sobie uszu od jednego wściekłego spojrzenia, to właśnie nasza specjalistka od zaopatrzenia. Moser mogłaby chyba przyjmować reprimendy od samego Oberhaupta i nadal stałaby z tą samą miną, jakby właśnie wysłuchiwała uwag o źle ustawionych skrzynkach.

– Druga sprawa. Nie znalazłam w waszych raportach informacji o trwającej pladze cięż. Panna Sienna dołączyła do „zarażonych”. Sztab dowódcy frontu został już poinformowany.

Tym razem to ja spojrzałem wściekle na Bootha. To on badał wczoraj Siennę. I to on najwyraźniej uznał za stosowne donieść o wszystkim major. Nie podejrzewam go o lizusostwo. O głupotę już owszem. Człowiek może być przyzwoity, pomocny i nawet sprawny, a jednocześnie wykazywać zadziwiający brak instynktu samozachowawczego. Booth najwyraźniej właśnie zademonstrował ten talent w pełnej krasie.

– I trzecia, najważniejsza rzecz. Wywiad donosi, że niedaleko stąd ukrywa się grupa dywersyjna Związku Rad dowodzona przez Kamni Khalka. Wytypuję zaraz oddział, który uda się w miejsce prawdopodobnego ukrycia.

– Chwila. Co? – odezwałem się, zanim zdążyłem powstrzymać własny język. – Czy my przypadkiem nie jesteśmy szpitalem wojskowym, a nie oddziałem szturmowym?!

– Racja, ale uznałam, że wasze doświadczenie bojowe warto wykorzystać. Osobiście zgłosiłam Kanzelpass do tej misji. Dowódca frontu przychylił się do moich argumentów.

Dwa dni temu miałem ochotę powiesić Rotha. Dzisiaj Roth spadł na sam koniec kolejki. Margarete wskoczyła na pierwsze miejsce z prędkością godną pocisku. Nie wiem, czy planowała to od początku, czy po prostu moje pytanie obudziło w niej potrzebę pokazania, kto tu teraz rozdaje role, ale efekt był ten sam. Wyznaczyła mnie do grupy szturmowej. Mnie. Lekarza. Człowieka, który ostatnio naprawdę zaczął wierzyć, że może jednak da się tu robić coś sensownego poza zabijaniem.

Do tego Keller, Tobiasse, Sela, Booth, Porter, Quint i Mini.

Szliśmy na miejsce ładnych parę godzin. Teren sam w sobie wystarczyłby za wykład o stanie tej wojny. Mijaliśmy wraki czołgów i ciężarówek. Dwa razy trafiliśmy na zbiorowe mogiły, nawet nie wiadomo czyje. Koło południa minęliśmy spaloną wieś. Chyba dopiero wtedy naprawdę zobaczyliśmy skutki tej wojny. Przez ostatnie trzy miesiące siedzieliśmy zamknięci w dolinie, jakby ktoś odciął nas od większego obrazu. Owszem, atakowali nas czasem, leczyliśmy, oglądaliśmy rannych i trupów, ale dopiero tam, w terenie, człowiek widział, jak wojna nie tylko zabija ludzi, ale zdziera z całych miejsc wszelką pamięć o zwyczajnym życiu.

Spalona wieś jest czymś szczególnie plugawym. Jakby ktoś z całym spokojem wszedł w ludzkie życie i wykreślił je gumką. Domy, które miały stać latami, nagle kończą jako szkielety. Studnie, płoty, podwórza, drogi. Wszystko zostaje, ale bez sensu. Jak dekoracja po przedstawieniu, którego obsada dawno już nie żyje albo uciekła.



Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dotarliśmy na miejsce. Tobiasse zrobiła szybki zwiad.

– Siedzą w tych trzech chatach tam w lesie – zameldowała, gdy wróciła.

Plan był prosty. A proste plany mają tę zaletę, że człowiek nie musi się oszukiwać, iż bierze udział w czymś eleganckim. I najczęściej nie zawodzą. Podkradamy się, czekamy, aż wartownicy znajdą się w zasięgu, Quint i Tobiasse zdejmują ich, a potem reszta robi swoje. I dokładnie tak to się odbyło. Huk dwóch strzałów przeszył ciszę i spłoszył okoliczną zwierzynę.

Z chat wybiegło kilku uzbrojonych ludzi. Otworzyliśmy ogień. Kilka minut i było po wszystkim. W takich chwilach człowiek uświadamia sobie, jak szybko kończy się cudze życie, kiedy ktoś dobrze zaplanuje jego przerwanie. Tyle godzin marszu, tyle napięcia, tyle milczenia po drodze, a potem kilka minut strzałów i zostaje tylko sprzątanie.

Czwórkę rannych prowizorycznie opatrzyliśmy i zamknęliśmy w jednym z budynków. Noc spędziliśmy w ich obozie. Nie była to noc szczególnie wygodna ani spokojna, ale po całym dniu człowiek potrafi zasnąć właściwie wszędzie.

Do Kanzelpass wróciliśmy wieczorem następnego dnia. Przez całą drogę taszczyliśmy jeńców. W takich momentach człowiek zaczyna doceniać wynalazki cywilizacji bardziej niż wszystkie idee, o które podobno toczy się wojny. Przydałyby się ciężarówki. Albo chociaż konie. Ale oczywiście zamiast tego mieliśmy własne nogi, obolałe ręce i przekonanie, że jeśli jeszcze raz ktoś nazwie to „sprawną operacją”, to sam go zwiążę i każę nieść przez pół dnia.

Na wejściu zobaczyliśmy Heiligchan drącą się na Rotha. Nie powiem, był to widok kojący. Naprawdę piękny w swojej prostocie. Czasem człowiek wraca zmęczony, głodny i oblepiony drogą, a los mimo wszystko ma dla niego mały prezent.

– Kogo jak kogo, ale byłego oficera podejrzewałam o większy szacunek do regulaminu!!! – nie potrzebowała radiowózła, żeby cały posterunek ją słyszał. – Morath w ciąży z tobą?! To jest wojsko czy burdel?!

Chciała dodać coś jeszcze, ale wtedy zauważyła nas wchodzących przez bramę. I Vogel rzucającą się w moje ramiona.

Tego momentu nie oddałbym za żaden raport, żaden rozkaz ani żaden zasrany triumf taktyczny. Po całym marszu, po ogniu, po widoku wraków i mogił, po tej całej nędzy drogi, nagle mieć znowu ją przy sobie. Jej ciepło, jej ciężar, ten krótki, prosty odruch, w którym nie było frontu, sztabu ani regulaminu. Tylko powrót.

– Ekhem – chrząknęła Heiligchan na powitanie. – Oczekuję pisemnego raportu z akcji. A panna Vogel spożytkuje swój nadmiar energii na nocnym dyżurze.

No to nas urządziła. Ale na tym nie skończyła.

– Co to za czwórka? – spytała z udawanym zdziwieniem. – Rozkaz był jasny: likwidacja wrogiego oddziału.

Patrz pan. Nagle konwencje jej nie interesują.

– Zgodnie z wytycznymi pani major zastosowaliśmy się do konwencji międzynarodowych. Nie zarżnęliśmy rannych jak świń – odpowiedział Quint.

Pięknie. Naprawdę pięknie. Jeśli wcześniej jeszcze nie podpadł, to teraz z pewnością dopisał się jej do prywatnej listy ludzi, których będzie chciała kiedyś symbolicznie rozstrzelać wzrokiem.

– Odstawić ich do więzienia. I macie dzień urlopu – skwitowała.

Brzmiało to niby sucho, ale wyraźnie była niezadowolona, że użyliśmy jej własnych słów przeciwko niej. I chyba właśnie to najbardziej mnie ubawiło. Moralność na froncie bywa najwyraźniej rzeczą ruchomą. Kiedy Moser dobijała jeńców pod

więzieniem, Heiligchan krzyczała o humanitaryzmie. Kiedy my przyprowadziliśmy rannych dywersantów żywych, nagle liczył się rozkaz likwidacji. Miło widzieć, że zasady także potrafią się przemieszczać szybciej niż jednostki mobilne.

To będą ciężkie dni.

A może miesiące.

I chyba najgorsze jest to, że po raz pierwszy od dawna nie mam nawet ochoty udawać, że przesadzam.

15 grudnia 1943

Związek Rad nas zaatakował. Zrzucili spadochroniarzy prosto na posterunek, jakby Kanzelpass było co najmniej twierdzą decydującą o losach całej wojny, a nie zapadłą dziurą, którą sztab raz po raz usiłuje nazywać szpitalem polowym z takim uporem, jakby od samego nazewnictwa miało tu przybyć ścian, leków i zdrowego rozsądku. Po co przyszli? To akurat było aż nazbyt oczywiste. Chcieli odbić jeńców, zwłaszcza że jednym z nich był Kamni Khalka. Najwyraźniej są ludzie, dla których jeden właściwy więzień wart jest całej tej operacji, nawet jeśli trzeba przy okazji wysypać żołnierzy z nieba nad dobrze uzbrojony posterunek.

Tylko że kolejny raz im nie wyszło. Zaczynam mieć wrażenie, że istnieje jakaś patronka nieudanych ataków na Kanzelpass. Większość z nich zginęła, zanim wylądowała. Zadbali o to nasi najlepsi strzelcy, którzy najwyraźniej uznali spadochroniarzy za uprzejmię dostarczone cele ćwiczebne. Resztą zajęliśmy się już na ziemi, bardziej tradycyjnie, czyli przy użyciu broni, wrzasków i tej całej wojennej mechaniki, którą wszyscy tu znamy aż za dobrze.

Straty? Podpalili nam meszę. Tak więc poza zwyczajowym kompletem trupów, rannych i bałaganu dostaliśmy jeszcze konieczność remontu. Człowiek ledwo zdąży przywyknąć do jednego rodzaju zniszczeń, a wojna od razu stara się urozmaicić

repertuar. Oczywiście ja i reszta korpusu medycznego dostaliśmy do pozszywania kolejnych rannych jeńców. Zaczynam mieć tego po dziurki w nosie. Nie samego ratowania, z tym już się pogodziłem, tylko tej powtarzalności całego mechanizmu. Ktoś przychodzi nas zabić, ktoś nie daje rady, a potem my cerujemy tych, którym nie dopisało szczęście albo celność.

Najśmieszniejsze, a raczej najbardziej żałośnie zabawne w całej sprawie było to, że atak okazał się spóźniony. Dosłownie kilka godzin wcześniej przyjechała ciężarówka z Hawilandu i zabrała jeńców. Więc ci wszyscy dzielni spadochroniarze zlecieli nam na głowy po coś, czego już tutaj nie było. Ryzykowali życie, żeby odbić ludzi, którzy zdążyli odjechać. Gdyby to nie było wojną, można by to uznać za farsę. Ale wojna ma tę podłą cechę, że nawet najbardziej groteskowe pomyłki kończą się krwią, nie śmiechem.

Poza tym ogólnie był spokój. Aż do dzisiaj. Udało nam się nawet powiększyć więzienie, co samo w sobie mówi o naszej rzeczywistości więcej, niż powinno. Jedni w normalnych czasach rozbudowują szkoły albo domy kultury, my cieszymy się z większej liczby cel.

– Teraz to aż będą chcieli wpadać w nasze ręce! – podsumował Keller po zakończeniu rozbudowy. – Patrzcie, mają stół i kibel nawet!

I trzeba przyznać, że więzienie rzeczywiście zaczyna przypominać miejsce o standardzie niemal luksusowym jak na tutejsze warunki. Jeszcze trochę, a zaczniemy brać jeńców reklamą. „Kanzelpass. Dobre wyżywienie, opieka medyczna, sanitariaty. Atakuj już dziś”.

Moser zniknęła na kilka godzin. Margarete już prawie wysyłała raport do sztabu i zaczynała organizować misję złapania dezertarki, bo oczywiście jej pierwszym odruchem zawsze jest założyć najgorsze, a potem wrzeszczyć, że rzeczywistość nie

nadaża za regulaminem. Na szczęście zanim skończyła swoją tyradę, Klara wróciła. Z teleskopem pod pachą.

– Trzy mundury radzieckie za to cacko – zameldowała z uśmiechem. – I tak nam się nie przydałyby, bo całe były w krwi.



– Ciekawe, jak wytłumaczysz braki magazynowe przed dowództwem?! – Heiligchan nie odpuszczała.

Moser tylko wzruszyła ramionami.

– Jakie braki? Przecież nawet nie były w ewidencji.

I po tych słowach, z tą cudowną bezczelnością, która czyni ją jednocześnie nieznośną i godną podziwu, poszła rozstawiać nową zabawkę dla nas. Czasem mam wrażenie, że Klara jest jedyną osobą na tym

posterunku, która naprawdę rozumie prawa wojny. Nie te zapisane w książkach, tylko te prawdziwe: jeśli możesz coś zdobyć, wymienić albo wyłudzić dla wspólnego pożytku, to robisz to i dopiero potem martwisz się, kto się oburzy.

Dzisiaj mieliśmy zresztą pełno gości. Przywieziono do nas oddział rannych Hawilandczyków. Medycznie rzecz biorąc, dość proste przypadki, nic wyjątkowo

wyrafinowanego, ale było ich tylu, że i tak prawie cały dzień spędziłem w szpitalu razem z Vogel. Znów bandaże, gorączka, szycie, polecenia, woda, krew.

Wieczorem weszliśmy do kantyny. Wśród naszych dostrzegłem obcego. Pułkownika sił pancernych Winków. Przybył z wizytą do Kanzelpass. Sztab najwyraźniej chciał nas przedstawić jako modelowy szpital polowy. To dopiero żart. Modelowy. Nas. Miejsce, gdzie więzienie się powiększa, messe się remontuje po podpaleniu, ciężarne mnożą się szybciej niż regulaminy, a lekarze z dnia na dzień wysyłani są na akcje szturmowe. Jeśli my jesteśmy modelowi, to ciekawe, jak wyglądają te katastrofalne...

Kiedy nas zobaczył, zerwał się z krzesła i od razu ruszył w naszą stronę. Wyciągnął dłoń i przedstawił się:

– *Colonel Christophe Grincheux. 3e division légère mécanique.*

Żebym ja jeszcze rozumiał, co znaczy to jego rzępolenie. Bo językiem trudno mi to nazwać. Brzmiało, jakby ktoś próbował mówić z pełnymi ustami, a jednocześnie dumnie udawał, że to bardzo eleganckie.

– Miło poznać – uściśnąłem jego dłoń. – Jestem Lu...

– Wiem, wiem – przerwał mi. – *Médecin* Lukas Stein i jego asystentka Anna Vogel. Słyszeliśmy o was.

O proszę. Robię się sławny. Tylko ciągle nie wiem, skąd ta sława i czy aby na pewno jej chcę. W czasach wojny człowiek zazwyczaj staje się znany albo dlatego, że robi coś wybitnego, albo dlatego, że trafił do wyjątkowo nieprzyjemnego zestawienia strat.

– O... nas? – *Frau Blau* wyraźnie się zawstydziała.

– Tak, tak. Trzy miesiące bez wsparcia, a wasza dwójka dawała radę zszywać rannych. Tylko kilka śmierci, i to głównie jeńców. To wyczyn, o którym mówi cała koalicja.

No pięknie. Może po wojnie postawią nam pomnik. Ja z igłą w rękę, Vogel z miną cichszą od sumienia sztabu. Może nawet tabliczkę dopiszą. „Tu stoją ci, którzy łatali ludzi szybciej, niż świat potrafił ich psuć”. O ile wojna się skończy. O ile w ogóle dożyjemy jej końca. O ile ktoś będzie miał jeszcze ochotę stawiać pomniki zamiast po prostu sprzątać gruz.

Naszą rozmowę przerwała Heiligchan, która wparowała do messy w towarzystwie Rotha. Wiedziałem, że szybko zostanie jej naczelnym tyłowym. Są ludzie stworzeni do służby. Roth najwyraźniej został stworzony do służenia każdemu, kto akurat stoi wyżej i wydaje mu się użyteczny.

– Dlaczego o wizytacji dowiaduję się od swojego adiutanta?! – warknęła na powitanie. – Dlaczego nikt mi nie zameldował o tym?! I dlaczego zabraliście go do tej obskurnej kantyny, a nie do mojego gabinetu?!

Pewnie ciągnęłaby to jeszcze długo, gdyby nie pułkownik, który najwyraźniej nie miał ochoty być rekwizytem w jej scenie.

– *Madame* wybaczy, ale to było na moją prośbę. *Colonel Christophe Grincheux. 3e division légère mécanique*. Sądziłem, że sztab poinformował o moim przybyciu.

Z miny major można było bez trudu wyczytać, że sztab jej nie poinformował. Co było samo w sobie drobnym, ale bardzo przyjemnym aktem sprawiedliwości.

– Major Margarete Heiligchan. Jestem dowódcą tego... szpitala.

Przy ostatnim słowie zrobiła taką pauzę, jakby sama nie była pewna, czy „szpital” to na pewno najtrafniejsze określenie. Podejrzewam, że w głowie miała do wyboru jeszcze kilka innych, z których „burdel” byłoby zapewne najuczciwsze.

– Heiligchan... Heiligchan... – zamyślił się pułkownik, a potem nagle wykrzyknął z wyraźną radością: – Słyszałem! *Heisse Lippien!*

Tego nikt się nie spodziewał.

Heiligchan najpierw zrobiła się blada, potem sina, a na końcu spaliła takiego buraka, że mogłaby nim ogrzać pół baraku. Po czym wyszła. Chociaż uczciwiej byłoby powiedzieć: uciekła. Tempo jej odwrotu było godne człowieka, który nagle zrozumiał, że właśnie spotkał jedynego świadka kompromitacji, o której bardzo chciał zapomnieć. Roth stał jeszcze przez kilka sekund, jakby nie wiedział, czy wypada się równie szybko ewakuować, a potem ruszył za nią. Jak cień. Albo smród po gaciach.

– Ale jak to „gorące wargi”? – wypalił Quint później, gdy siedzieliśmy z pułkownikiem przy piwie.

– A to nie wiecie? – wtrącił się Falk. – Myślałem, że wszyscy już o tym słyszeli.

– No wybacź, ale nie każdy siedzi dwadzieścia godzin na dobę przy radiu! – oburzyła się Morath.

– No cóż... – zaczął pułkownik. – Pani major miała dość przykrą wpadkę.

– Wpadkę? – Falk nie wytrzymał. – Różnęła się z jeńcem w pokoju radiowym. Szkoda tylko, że w momencie uniesienia włączyli radiowęzeł.

– O nie! – zaprotestował Grincheux, niemal oburzony nieścisłością. – Nie radiowęzeł. Włączyli nadawanie na otwartym kanale.

Musiał przerwać, bo prawie zachłysnął się własną śliną ze śmiechu.

– W promieniu stu kilometrów każdy słyszał ich igraszki.

– O matko... – skwitowała Morath.

– No! – pułkownik wyraźnie się rozkręcał. Może od piwa, może od samej historii. – My tu próbujemy nawiązać kontakt z naszymi czołgami, a tutaj nam w kanał wpierdzielają się jęki i: „ale masz gorące wargi”.

Quint zakrztusił się piwem. Na szczęście udało mu się odkaszlnąć, bo naprawdę nie miałem najmniejszej ochoty reanimować go akurat w środku tej opowieści. Są granice zawodowego poświęcenia.

– Do tej pory... – kontynuował pułkownik, z trudem panując nad rozbawieniem – zastanawiamy się, o które wargi chodziło...

Mnie to akurat średnio interesuje. Naprawdę. Wojna oduczyła mnie ciekawości w wielu dziedzinach i nie mam potrzeby szczegółowo analizować romantycznych niuansów życia pani major. Ale jedno muszę przyznać: po raz pierwszy od jej przybycia poczułem, że opatrność jednak istnieje i od czasu do czasu potrafi człowiekowi coś wynagrodzić.

A ja, co tu dużo mówić, mam już pewien pomysł, jak trochę utemperować panią major.

